

»Zieleni się zboże«

Sztuka w 3 aktach Emlyn Williamsa

Istniał ongi gatunek „dobrej pani dziedziczki“. „Dobra pani dziedziczka“ brała koszyczek z „wiktualami i lekarstwami, przebierała się odpowiednio i szła na wleś, odwiedzając chorych i potrzebujących pomocy. Śaszedł, proboszcz i doktor mówili: Ho! ho! to wielka społeczniczka.

Bywali też dziedzice, którzy dawałi stypendia i opiekowali się „swolniami“ ludźmi; bywali fabrykanci budujący szkoły, zakładający szpitale dla „swolnych“ ludzi.

Ci „postępowcy“ minionej epoki byli uosobieniem pańskiej łaski — a nikt nie lubi łaski, bo łaska jest upokorzeniem. Pomoc lekarska z łaski... nauka z łaski... poprawa bytu z łaski...

Ze dobrowolnie, że bez przymusu, z własnej inicjatywy — to właśnie tworzyło tym głębszą przepaść. To mówiło wyzyskiwanym i upośledzonym, że im się nie należy. Ci dobrodziejowie i dobrodziejki byli nawet w pewnej mierze przeszkodą na dro-

dze zdobywania prawa dla siebie przez masy pracujące.

Takich to społeczników dobrodziejów pokazał nam Emlyn Williams w swej sztuce „Zieleni się zboże“. Intencją autora jest, byśmy wierzyli w postępowość bohaterki. Ona nie jest przedmiotem satyry, choć ona właśnie najbardziej na to zasługuje. O święta naiwności! Naiwny jest Williams, naiwna jego bohaterka... ale naiwni ich protektorzy w Miejskich Teatrach Dramatycznych i repertuaru opiekunowie.

Reakcyjność nie jest groźna w teatrze, gdy ukazujemy jej prawdziwe oblicze. Pisaliśmy niedawno o tym, jak odmiennie patrzy widz dzisiejszy na „Zemstę“ niż patrzył ongi i jak inaczej rozumie „Szczęście Franca“ niż ongi je rozumiał. Jednocześnie ukazanie takich pseudopostępowych sztuk może doprowadzić do całkowitego pomieszarzenia pojęć. Nie należy się bać Szanławskiego, bójmy się Williamsa.

No bo pomyślmy chwilę: bogata stara panna przyjeżdża na głuchą wleś walijską i aby czasu nie tracić postanawia na koszt własny założyć szkołę. Pomaga jej w tym starzejąca się a trzplotowata parnica, połująca na męża i niedokształcony purytanin. Z początku okoniem staje kretynowa ty dziedzic, ale i jego Miss Moffat zdołała sobie pozyskać. Wszyscy oni okazują się dobrzy i łaskawi.

Zamiar założenia szkoły już już byłby się rozleciał, gdyby nie to, że wśród uczniów, Miss Moffat znalazłi się geniusz, którego ona chce koniecznie doprowadzić do Oksfordu. Powiedzmy ściśle, którego chce wprowadzić w swoją sferę. Ow z zamiar doprowadza do skutku. Nie bez tego, że pomiędzy protektorką a jej pupilem nawiązuje się bardzo subtelna, bardzo delikatnie zaznaczona nić sympatii... spóźnionych. Jedynym ich następstwem jest fakt, że po kłótni z mistrzynią uczeń daje się uwieść młodej i pełnej temperamentu córce gospodyni.

Szkoła, która istnieje na marginesie tego zasadniczego tematu kształcenia wielkiego człowieka, została zepchnięta na barki półgłupków, którzy ją z zapałem prowadzą. Wszystko, oczywiście nadal własnym kosztem Miss Moffat.

Z początku dowiadujemy się, że w tej okolicy trzynastoletni idą już do kopalni, że szynk jest szanowaną instytucją, ale zagadnienia te znikają potem z horyzontu. To, że ludność mówi po walijsku, a nie po angielsku jest dowodem zacofania! (Szwajcarzy robią duże wysiłki, aby nie zmniejszała się liczba 60.000 ludzi mówiących językiem reń-romańskim). Wszystko dzieje się przed pierwszą wojną światową, ale zbyt słabo zaznaczono, że to jest angielski obrazek obyczajowy.

Interesujący jest w sztuce motyw poboczny, wspomniana córka gospodyni, która odgrywa rolę prowincjonalnej uwodzicielki. Znużone zasadniczością Miss Moffat otoczenie chętnie spogląda na nogi Bessy Watty, która o mało nie okazała się kobietą fatalną dla genialnego Morgana Evansa. Bessy Watty jest prawdziwą i dzięki temu wnosi humor i życie na scenę. Ona rozprasza nudę, która energicznie chce wtargnąć na scenę. Ona patrzy na Miss Moffat tak, jak na nią powłnien był spojrzeć autor, reżyser i widownia. Zrobić z Miss Moffat parodię społeczniczki — kto wie, czy to nie byłoby najlepsze. Reżyser Cz. Szpakowicz potraktował ją zbyt serio. Oczywiście, osiągnął w ten sposób konieczny kontrast z oto-

cznieniem, ale nadał też ów chybiony społeczny sens sztuce.

Aktorzy grali dobrze. Miss Moffat w interpretacji Ireny Ładosiówny była angielską sufrażystką z epoki pani Pankhurst, deklamującą o wzniosłych zagadnieniach i z trudem wcielającą się w skórę kobieciątka, kokietujące go wpływowego dziedzica. Alina Rostkowska jako Miss Ronberry była doskonałą podstarzałą panną z czasów mantyl, parasolek i woali. Tadeusz Kubalski jako dziedzic, Stefania Kornacka jako Mrs Watty i Stanisław Libner jako Mg Jones grali i dopełniali całość bez zarzutu. Oddzielną wzmianką należy się Ewie Karskiej za rolę Bessy Watty. Zagrała ją charakterystycznie, unikając szczęśliwie groźnącej tej roli trywialności. Przekształcenie się z dziecka w kobietę, ze znużonej kobiety w przyszłą kokotę — pokazała doskonale.

Jak zaznaczyliśmy, ocaliła sztukę od nudy. Bolesław Kostrzyński, genialny uczeń Miss Moffat, pokonał trudności swej roli nader umiejętnie.

Dekoratora afisz nie podał... nie jego to wina, że zima udała się mu znakomicie... na widzów w pierwszych szeregach wiał taki mróz ze sceny, że wyszli z teatru nie tyle pod wrażeniem, co z katarem. ZAST.